Nepal – Himalaje – Wyprawa 3-25.11.2005

Odcinek 3. Dingboche w kierunku do Chukhung.

Namaste:) Liczyło się tylko to, co przed nami – ścieżka, oddech i kolejny odcinek trasy ukryty gdzieś za granią.

Na wąskich półkach, należało jaki zawsze przepuszczać od strony ściany, a nie od strony przepaści.

Te ważące kilkaset kilogramów zwierzęta są raczej przyjaźnie nastawione do człowieka, ale mogłyby choćby z sympatii poczęstować go kuksańcem i nieboga znalazłby się kilkadziesiąt metrów niżej, wcale nie na własne życzenie.

Dlatego, choć bez obaw mijałam je na szerokich rozstępach szlaku, tak ze strachem przywierałam do skał, gdy całym stadem mijały nas na czasem metrowej szerokości ścieżkach, jak te poniżej. A było takich wiele. Z jakami musieliśmy się jakoś dogadać:)

Nadejście objuczonego towarami stada sygnalizowały dzwonki, które brzmiały mi w uszach jak alarm lotniczy. Jaki były wkomponowane w ten krajobraz, musiały ciężką pracą zarobić na koszyk trawy. Taki los miały zapisany w genach. Ale i tak czułam się na trasie bezpiecznie, choć przeziębienie nie chciało mnie opuścić.

Krótki odpoczynek w drodze z Dingboche do Chukhung, na tle ośnieżonej ściany Lhotse. Jesteśmy z Jolą między Dingboche a surowym krajobrazem lodowców.

Dla ludzi w namiotach noce były zimniejsze o kilka stopni. W naszych pokojach temperatura oscylowała w granicach 1–4. Dobrze, że zabrałam kurtkę puchową. Po trekkingu podarowałam ją szerpie Makarowi. Miałam też dobry śpiwór, który w Kathmandu pomógł mi kupić Mariusz. Na noc zakładałam ciepłe polary, wełniane rajstopy, na dłonie rękawiczki i hajda do Morfeusza.

W dzień, gdy przygrzało słońce było bardzo ciepło. Rozbieraliśmy się z kurtek, a w wolnych chwilach wystawialiśmy do nieba nafaktorowane kremami buzie. Należało uważać, bo słońce na tych wysokościach jest mocne i niebezpieczne.

Przedstawię Ci współtowarzyszy. Nasza grupa oprócz Mariusza i Hirana liczyła 14 osób różnych profesji: pracownik naukowy, ochroniarz, właściciele firm, radca prawny, informatycy, lekarz, dwie pedagożki. Z całej Polski, m.in. z Wrocławia, Skierniewic, Krakowa, Tychów, Warszawy, a Gosia z Australii i Marcin z Danii. Sympatyczni, elastyczni, mający z górami kontakt okazjonalny. W każdej sytuacji gotowi pomóc. Niespokojne dusze podejmujące wyzwania losu. Staraliśmy się, aby w grupie panowała przyjacielska atmosfera.
Leszek i Marcin.

Adam i Sylwek.

Grzegorz, Jola, Bartek i Grażka.

Hiran z Marleną oraz Mariusz.

Gosia i Ola.

Piotr, za nim Sylwek, po prawej Janusz.

Kilku chłopaków było kondycyjnie nie do pobicia, zresztą nikt tego nawet nie próbował robić, nie po to przecież przyjechaliśmy. Jednak byłam pełna podziwu, gdy dochodzili do każdego wyznaczonego codziennie celu ze swoimi ciężkimi i wielkimi plecakami - prawie 2 godziny przed nami. Kiedy my powoli w swoim tempie docierałyśmy na miejsce, oni czekali już na nas z gorącą herbatą i uśmiechem. To niesamowite, jak ta przestrzeń i wspólny wysiłek potrafiły połączyć ludzi o zupełnie różnej kondycji.
Każdy z nas przeżywał tę drogę na swój sposób, ale wieczorem przy stole różnice przestawały mieć znaczenie. Tworzyliśmy zgrany zespół.

O Krzysiu też pamiętałam.

Nasza ekipa byłaby niekompletna, gdybym nie wspomniała o Purnie. Szerpa Purna, asystent Hirana, to była postać bardzo egzotyczna. Czasem mi towarzyszył podczas marszu, bo słabłam z godziny na godzinę, a poza tym chciałam się nauczyć jakiejś nepalskiej piosenki. Przyswoiłam zwrotkę jednej, a potem nauczyła się jej cała nasza grupa. Śpiewaliśmy ją często, budząc podziw globtroterów.
Fonetycznie leciała tak:
Reson piriri, reson piriri, undera dzianki dada na bandzian reson piriri....
Purna miał „talent" do robienia zdjęć. Zawsze mnie fotografował od nosa do nieba albo od brody w dół. Zadziwiające było, jak on to robił. Drugi mój ulubiony szerpa Makar, miał te same „zdolności". Nie wiem, skąd się brała ich nieumiejętność cykania zdjęć, a moja pedagogiczna energia i cierpliwość w podawaniu im instrukcji - nie odnosiły pożądanego skutku. Oni mieli oczy prześwietlone? Być może ich wzrok - przystosowany do wypatrywania szczegółów w potężnych przestrzeniach - cierpiał na zaburzenie akomodacji w kontakcie z małym ekranem i zamiast konturów na wyświetlaczu widzieli tylko jedną plamę.

Makar.

Purna na solidnym moście.

Oprócz Purny i Makara szła z nami grupa równie pracowitych i sprawnych szerpów. Bez ich ciężkiej pracy i niezłomnego ducha nasze marzenie o dotarciu pod Everest nigdy by się nie spełniło. Cieszyli się, że zarobią rupie, dźwigając nasze toboły. Szkoda, że bariera językowa nie pozwalała nam na lepszą komunikację, bo ci młodzi Nepalczycy byli otwarci na kontakt. Ale chociaż uśmiechaliśmy się do nich, kiedy zręcznie mijali nas na szlaku.
Spośród wszystkich szerpów dla mnie najważniejszy był Makar. Najczęściej mi towarzyszył i odegra istotną rolę wkrótce.

Bez obecności szerpów ekspedycje wysokogórskie byłyby niemożliwe, dlatego z szacunku do nich pokażę Ci naszych pozostałych pomagaczy.

Mieli energię, która pozwalała im z lekkością pokonywać górskie podejścia.

Szliśmy dalej zgodnie z grafikiem. Dla mojej duszy był to szlak po raju. Dla ciała mordęga:) Znajdowałam się jednak w miejscu, o jakim marzyłam.

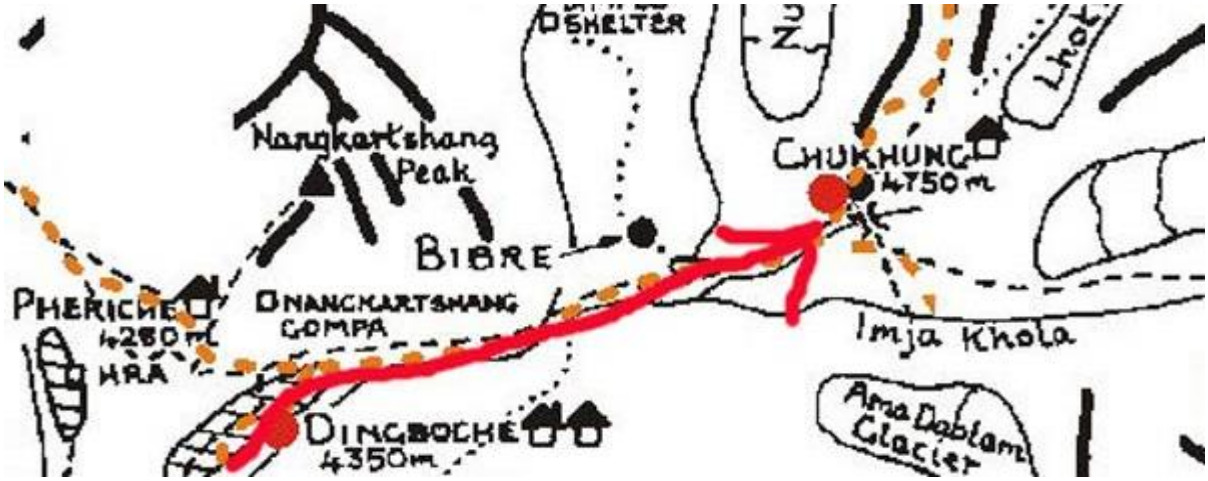

Podziwiałam krajobrazy, poznawałam w życie Nepalczyków, cykałam ciekawe miejsca i cieszyłam każdą chwilą. Moim nieodłącznym atrybutem był termos z ginger tea. Już mało co mówiłam, ale chciałam dojść do ostatecznego celu, czyli do Gokio Ri (5560). To tam roztaczał się najpiękniejszy widok na Everest.
Z czasem i koledzy uruchomili apteczki, bo wielką sztuką było uniknąć przeziębienia. Różnice temperatur, zimna woda do mycia lub gorący prysznic pod niebem - nie sprzyjały zdrowiu. Zażywali, bo byli chorzy, a inni profilaktycznie. Mariusz aplikował nam diuramid przeciw chorobie wysokościowej. O porządnej kuracji nie było mowy. Świt zwiastował kolejny wielogodzinny marsz i ochłodzenie organizmu na silnym wietrze albo przegrzanie na słońcu. W górę i w dół, dziesiątki zakrętów bez końca. Wyżej, coraz wyżej. Na początku chętnie szłam w dół, ale potem przyszłam po rozum do głowy, bo ile setek metrów było w dół, tyle potem pod górę.
Szutrowe wzgórza. Kolejny, wymagający odcinek drogi do Chukhung (4750).

Nuptse (7861 m n.p.m) - zachodnie ramię masywu Lhotse.

W następnym odcinku, będzie już bardzo ciężko.
Pozdrawiam Cię serdecznie.
Renata Bednarz - Zielona Gałązka
www.renatabednarz.pl